

Rozdział 1

Hall

Było niemal pewne, że druga inwazja Mort będzie wyglądała jak rzeźnia. Po jednej stronie stała pierwszorzędną armia mortmesneńska uzbrojona w najlepszą broń, jaką widział Nowy Świat, dowodzona przez człowieka, który nie zawaha się przed niczym. Po drugiej stronie stała armia tearlińska: czterokrotnie mniejsza, uzbrojona w tanie żelazo, które nie wytrzymałoby uderzenia solidnej stali. Szanse Tearlingu nie były niewielkie. Były katastrofalnie małe. Nikt nie widział możliwości ucieczki przed tragedią.

Tearling jako kraj militarny, CALLOW MĘCZENNIK

Na granicy z Mort szybko zaczęło świtać. W jednej chwili przymglony błękit na horyzoncie ustąpił miejsca jaskrawym smugom biegnącym ku górze ze wschodu Mortmesne. Jasne refleksy rozciągały się na jeziorze Karczmar, aż w końcu cała jego

powierzchnia zaczęła wyglądać jak jaskrawe pole ognia przecinane falami jedynie w chwilach, gdy delikatna bryza owiewała brzegi.

W tej okolicy określenie granicy z Mort sprawiało pewien problem. Nikt dokładnie nie wiedział, którędy ona przebiega. Mieszkańcy Mortmesne stanowczo utrzymywali, że jezioro leży na ich terytorium, lecz Tearling także rościł prawa do tego akwenu, gdyż odkrył go znany tearliński podróżnik Martin Karczmar. Złożono go do grobu niemal trzy stulecia wcześniej, lecz Tearling nigdy do końca nie pogodził się z utratą swojego wątego prawa do jeziora. Same jego wody nie miały wielkiej wartości, pływały w nich bowiem drapieżne ryby, które nie nadawały się do jedzenia, ale akwen stanowił ważny punkt orientacyjny, gdyż na północ i południe od niego na granicy państw nie było żadnych charakterystycznych elementów terenu. Oba królestwa zawsze chciały ostatecznie rozstrzygnąć ten spór. Przed wielu laty zastanawiano się nawet nad podpisaniem traktatu w tej sprawie, lecz nic z tego nie wynikło. Na wschód i południe od Karczmar rozciągały się słone równiny pokryte na przemian mułem i grzęzawiskami. Teren ten sięgał aż po las utworzony przez mortmesneńskie sosny, leżący wiele mil na wschód. Lecz na zachodnim brzegu jeziora równiny te zajmowały zaledwie kilkaset stóp, a ich kraniec wyznaczały Wzgórza Graniczne, których strome zbocza porastały gęsto sosny. Lesiste tereny sięgały szczytów, a po drugiej stronie schodziły ku właściwym terenom Tearlingu – Równinie Almontu.

Choć lasy na stromych wschodnich zboczach Wzgórz Granicznych były niezamieszkane, szczyty i stoki zachodnie były poznaczone maleńkimi tearlińskimi osadami. Mieszkańcy tych wiosek schodzili czasem po żywność na Almont, lecz przeważnie jako hodowcy – owiec i kóz – handlowali między sobą wełną, mlekiem i mięsem. Co jakiś czas zbierali towary i z solidną eskortą wysyłali je do Nowego Londynu, gdzie sprzedawali – zwłaszcza wełnę – po

wyższych cenach, a w zamian otrzymywali nie inne towary, lecz pieniądze. Wioski położone na stokach, jak Woodend, Idyllwild, Zbocze Devina czy Griffen, stanowiły łatwy łup, ich mieszkańcy byli bowiem uzbrojeni w drewnianą broń, a poza tym nie chcieli porzucać swoich zwierząt.

Pułkownik Hall zastanawiał się, jak można kochać spłachetek ziemi tak bardzo, a jednocześnie dziękować losowi, że cię stamtąd zabrał. Hall był synem hodowcy owiec z Idyllwild. Zapach unoszący się w tych wioskach – woń mokrej wełny pokrytej solidną warstwą obornika – był tak mocno wpisany w jego wspomnienia, że czuł go nawet teraz, choć najbliższa osada leżała na zachodnich zboczach Wzgórz Granicznych, kilka mil dalej, i nie było jej jeszcze widać.

Los sprawił, że Hall odszedł z Idyllwild. Nie był to jednak los łaskawy, lecz taki, jaki jedną ręką daje, a drugą wbija nóż w plecy. Jego wioska leżała daleko na północ i nie ucierpiała zbytnio podczas pierwszej inwazji. Grupa najeźdźców zjawiła się tam pewnej nocy i zabrała część owiec z niestrzeżonej zagrody, ale poza tym nie wyrządziła innych szkód. Kiedy podpisano traktat z Mort, w Idyllwild i w sąsiednich osadach świętowano. Hall i jego brat bliźniak Simon spili się w sztok i obudzili w chlewie w Zboczu Devina. Ojciec twierdził, że ich wiosce się upiekło, a Hall podzielał jego zdanie, dopóki osiem miesięcy później w drugim losowaniu nie padło imię brata.

Hall i Simon mieli po piętnaście lat, więc zgodnie z panującymi zwyczajami byli już dorośli, lecz ich rodzice zapomnieli o tym na trzy kolejne tygodnie. Mama przygotowywała ulubione posiłki Simona, a tato odpuścił obu chłopcom wszelkie obowiązki. Pod koniec miesiąca udali się do Nowego Londynu jak wiele innych rodzin. Tato szlochał na przodzie wozu, mama milczała z ponurą

miną, a Hall i Simon usilnie starali się wywołać na ich twarzach wymuszone uśmiechy.

Rodzice nie chcieli, by Hall był świadkiem zsyłki. Zostawili go w pubie przy Wielkim Bulwarze, dali trzy funty i polecieli czekać, aż wrócą. Ale Hall nie był dzieckiem, więc wyszedł z pubu i ruszył za nimi na błonia. Tuż przed odjazdem klatek tato zemdleł, a mama próbowała go ocucić, więc w końcu tylko Hall widział, jak wyrusza zsyłka; tylko Hall widział, jak Simon znika w mieście i na zawsze znika z ich życia.

Zostali w Nowym Londynie na noc. Zatrzymali się w jednej z najpodlejszych karczem w Gardzieli. Przerażliwy smród ostatecznie przegonił Halla na zewnątrz. Chłopak szwendał się po okolicy w poszukiwaniu konia, którego mógłby ukraść, gdyż zamierzał ruszyć Szlakiem Mortmesneńskim za klatkami i odbić Simona lub zginąć. Znalazł wierzchowca przed jednym z pubów i starał się rozplątać skomplikowany węzeł, gdy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Co ty wyprawiasz, wioskowy szcurrze?

Głos należał do postawnego, uzbrojonego mężczyzny, wyższego od ojca Halla. Chłopak był przekonany, że za chwilę zginie, i po części nawet się ucieszył.

– Potrzebuję konia.

Mężczyzna obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

– Ktoś trafił na zsyłkę?

– Nie pana sprawa.

– Zdecydowanie moja. To mój koń.

Hall wyciągnął nóż. Co prawda do strzyżenia owiec, ale liczył na to, że nieznamy się nie zorientuje.

– Nie mam czasu, żeby się tu z panem spierać. Potrzebny mi ten koń.

– Odlóż to, chłopcze, i nie wygłupiaj się. Zsyłki pilnuje ośmiu ludzi z Caden. Na pewno słyszałeś o Caden nawet w tej

śmierdzącej dziurze, z której pochodzisz. W zębach połamaliby ten twój śmieszny kozik.

Nieznajomy chciał chwycić za uzdę, ale Hall uniósł nóż i zagroził mu drogę.

– Nie chcę kraść, ale to wyższa konieczność. Muszę ruszać.

Nieznajomy popatrzył na niego taksującym wzrokiem.

– Trzeba przyznać, że masz jaja, chłopaku. Jesteś rolnikiem?

– Pasterzem.

Mężczyzna patrzył na niego jeszcze przez chwilę i powiedział:

– No dobra. Zrobimy tak: *pożyczę ci* mojego konia. Nomen omen nazywa się Przysługa. Pojedziesz na Szlak Mortmesneński i rzucisz okiem na zsyłkę. Jeśli jesteś mądry, zrozumiesz, że nie wygrasz. A wtedy będziesz miał dwa wyjścia. Albo bezsensownie zginiesz i niczego nie osiągniesz, albo zavrócisz i pojedziesz do koszar w Wells, a tam porozmawiamy o twojej przyszłości.

– Jakiej przyszłości?

– Przyszłości w wojsku, chłopcze. Chyba że chcesz przez resztę życia cuchnąć owczym łajnem.

Hall popatrzył na niego niepewnie, zastanawiając się, czy to nie jakiś podstęp.

– A jeśli po prostu ucieknę na tym koniu?

– Nie zrobisz tego. Masz w sobie poczucie obowiązku, bo inaczej w ogóle nie wybrałbyś się na tę durną przechadzkę. Poza tym jeśli postanowię cię dopaść, będę miał do dyspozycji wszystkie konie naszej armii.

Nieznajomy odwrócił się i ruszył ku wejściu do pubu, zostawiwszy Halla przy koniowiązie.

– Kim pan jest?! – zawołał za nim Hall.

– Major Bermond z prawobrzeżnego frontu. Śpiesz się, chłopcze. A jeśli koniowi coś się stanie, poczujesz mój gniew na tej swojej nędznej pasterskiej skórze.

Hall nocą z trudem dogonił zsyłkę i okazało się, że Bermond miał rację: strzeżono jej jak fortecy. Każdą klatkę otaczali żołnierze, a wśród nich widać było czerwone płaszcze Caden. Hall nie miał miecza, ale nie był na tyle głupi, by sądzić, że miecz cokolwiek by zmienił. Nie mógł zbliżyć się nawet na tyle, by rozpoznać Simona. Kiedy próbował podjechać do klatek, jeden z ludzi z Caden wypuścił w jego kierunku strzałę, która minęła go o niecałą stopę. Było tak, jak mówił major.

Mimo to Hall zastanawiał się, czy nie zaszarżować i nie skończyć z tym wszystkim, nie zapobiec okropnej przyszłości, którą przeczuwał już w drodze do Nowego Londynu – przyszłości, w której rodzice patrzyliby na niego i dostrzegali wyłącznie to, że nie ma z nimi Simona. Twarz Halla nie byłaby dla nich żadnym pocieszeniem, przywodziłaby na myśl jedynie straszliwe wspomnienie. Mocniej chwycił wodze, przygotowując się do szarży, ale wtedy stało się coś niewytłumaczalnego: w grupie ściśniętych więźniów w szóstej klatce nagle dostrzegł brata. Klatki były za daleko, by Hall mógł cokolwiek zauważyć, a mimo wszystko zobaczył jego twarz. Swoją twarz. Gdyby ruszył na śmierć, po Simonie nie zostałoby nic, nawet ślad po jego odejściu. A potem Hall zrozumiał, że tu wcale nie chodzi o brata, lecz o jego własne poczucie winy i smutek. O egoizm i samozagładę, które – jak to często bywało – szły ramię w ramię.

Hall zawrócił konia w kierunku Nowego Londynu i wstąpił do armii Tearlingu. Major czuwał nad nim i choć nigdy się do tego nie przyznał, Hall czuł, że Bermond musiał komuś coś szeptać, bo nawet podczas służby w zwykłej piechocie nigdy nie przydzielano mu żadnych obowiązków związanych ze zsyłką. Część żołdu co miesiąc wysyłał do domu. Rzadko tam bywał, ale w czasie wizyt w Idyllwild rodzice zaskakiwali go, byli bowiem oschli, lecz dumni, że syn został żołnierzem. Szybko awansował w hierarchii

i nim ukończył trzydzieści jeden lat, był już pierwszym oficerem po generale. Nie była to satysfakcjonująca praca. Życie żołnierza za panowania regenta wiązało się z interwencjami podczas burd i ze ściganiem drobnych rzezimieszków. Nie przynosiło żadnej chwały. Ale to...

– Pułkowniku?

Hall podniósł wzrok i zobaczył swojego zastępcę, podpułkownika Blasera. Twarz oficera była umazana sadzą.

– O co chodzi?

– Major Caffrey dał sygnał. Czeka na rozkazy.

– Jeszcze kilka minut.

Usiedli obaj w ambonie na wschodnim zboczu Wzgórz Granicznych. Batalion Halla stacjonował w tym miejscu już od kilku tygodni. Pracował sumiennie, obserwując masy ludzi przemieszczające się po Nizinie Mortmesneńskiej. Wielkość utrudniała armii Mort posuwanie się naprzód, lecz w końcu dotarła w to miejsce, a jej obozy rozciągały się wzdłuż południowego brzegu jeziora Karczmar niczym czarne miasto sięgające daleko po horyzont.

Przez lunetę Hall dojrzał tylko czterech wartowników rozstawionych w dużych odstępach na zachodnim krańcu obozowiska. Dzięki maskującym strojom ledwie było ich widać na tle ciemnego, mulistego solniska, ale Hall dobrze znał brzegi tego jeziora i w jaśniejącym świetle poranka z łatwością dostrzegał odłączonych od armii żołnierzy. Dwóch z nich nawet nie rozglądało się po okolicy, lecz drzemało na stanowiskach. Armia Mort spała spokojnie, i tak miało być. Według raportów Buławy liczyła ponad dwadzieścia tysięcy ludzi uzbrojonych w solidne żelazo wzmocnione stalą. Armia Tearlingu wyglądała przy tym mizernie. Częściowo winę za to ponosił Bermond. Hall kochał staruszkę jak ojca, ale Bermond za bardzo przywykł do czasów pokoju. Objeżdżał ziemie Tearlingu niczym rolnik nadzorujący swoje hektary, a nie żołnierz

przygotowujący się do walki. Armia tearlińska nie była gotowa na wojnę, lecz wojna i tak się rozpoczęła.

Jak już nieraz w ostatnich dniach Hall wrócił myślami do armat stojących w solidnie umocnionym punkcie w samym sercu obozu Mort. Dopóki nie zobaczył ich na własne oczy, nie wierzył królowej, choć nie wątpił, że miała jakąś wizję. Lecz teraz, gdy na wschodzie zrobiło się jaśniej, światło odbijało się od żelaznych potworów, podkreślając ich opływowe cylindryczne kształty. Hall poczuł, jak jego wnętrzości skręca znajomy gniew. Świetnie radził sobie z mieczem, ale ta broń miała ograniczenia. Mieszkańcy Mort próbowali nagiąć od zawsze znane Hallowi zasady sztuki wojennej.

– Niech im będzie – mruknął, chowając lunetę, nieświadomy, że powiedział to na głos. – My zrobimy to samo.

Zszedł po drabinie, a Blaser tuż za nim – obaj zeskoczyli z kilku ostatnich szczebli, a potem zaczęli wspinać się na wzgórze. W ciągu ostatnich dwunastu godzin Hall po cichu rozlokował na wschodnich zboczach ponad stu ludzi, zarówno łuczników, jak i piechurów. Ale po wielu tygodniach ciężkiej pracy fizycznej jego ludziom trudno było leżeć i czekać w bezruchu, zwłaszcza w ciemności. Najmniejsza oznaka aktywności na wzgórzach wzbudziła by czujność armii Mort, dlatego Hall w nocy przede wszystkim chodził od jednego stanowiska do drugiego i pilnował, by jego żołnierze nie wyszli z siebie.

Zbocze robiło się coraz bardziej strome. W końcu Hall i Blaser musieli szukać uchwytów wśród skał, a ich stopy ślizgały się na sosnowym igliwiu. Obaj mieli na rękach grube skórzane rękawice i wspinali się ostrożnie, gdyż nie był to bezpieczny teren. Skały skrywały tunele i niewielkie jaskinie, a w takich zagłębieniach lubiły zdomawiać się grzechotniki. Węże te na pograniczu były wyjątkowo agresywne, gdyż przez tysiąclecia musiały walczyć o przetrwanie w tym bezwzględnym miejscu. Dzięki grubej,

twardej skórze były niemal niewrażliwe na ogień, a zębami jadowymi wstrzykiwały skrupulatnie odmierzoną dawkę trucizny. Jedno źle wybrane miejsce chwytu na tym zbocz mogło kosztować życie. Kiedy Hall i jego brat byli dziesięcioletkami, Simon złapał grzechotnika do klatki i próbował go oswoić, ale ta gra potrwała zaledwie tydzień. Bez względu na to, jak dobrze Simon karmił węża, nie zdołał go oswoić – gad atakował przy każdym ruchu chłopca. W końcu Hall i Simon wypuścili zwierzę. Otworzyli klatkę, a potem, by ująć z życiem, biegiem wracali na wschodnie zbocze. Nikt nie wiedział, jak długo żyły grzechotniki z pogranicza. Równie dobrze wąż Simona mógł prześlizgiwać się właśnie tuż za skałami wśród swoich braci.

Simon.

Hall zamknął i otworzył oczy. Był na tyle mądry, by nie pozwolić wyobraźni zapuszczać się zbyt daleko na Szlak Mortmesneński, ale w ciągu ostatnich kilku tygodni, gdy widział przed sobą całe zachodnie Mortmesne, łapał się na tym, że myśli o bracie częściej niż zwykle. Zastanawiał się, gdzie teraz jest oraz komu i w jaki sposób służy. Prawdopodobnie pracował fizycznie, kiedyś był bowiem uważany za jednego z najlepszych postrzygaczy na zachodnim zbocz. Marnotrawstwem byłoby wykorzystanie go do zajęć innych niż ciężka praca – Hall powtarzał to sobie wielokrotnie, ale to wcale nie znaczyło, że tak właśnie było. Wciąż dręczyła go myśl, że być może – choć było to bardzo mało prawdopodobne – Simona sprzedano gdzieś w innym celu.

– Cholera!

Przekleństwo Blasera sprowadziło Halla na ziemię. Szybko spojrzął za siebie, żeby upewnić się, że nic nie ukąsiło podpułkownika. Ale Blaser tylko się poślizgnął i odzyskał już równowagę. Hall wspinał się dalej, potrząsnąwszy głową, by odpędzić nieprzyjemne myśli. Zsyłka była jak rana, która nigdy się nie zagoiła.

Hall dotarł na szczyt wzniesienia i wszedł na polanę, gdzie niecierpliwie czekali na niego jego ludzie. Przez ostatni miesiąc pracowali w pośpiechu i nie narzekali, jak to zwykle bywało, gdy musieli coś zbudować. Skończyli tak szybko, że Hall zdołał wielokrotnie sprawdzić całą akcję, zanim jeszcze armia Mort dotarła na równinę. Czekał na niego także sokolnik Jasper, a jego dwunastu podopiecznych siedziało na długiej żerdzi na szczycie wzgórza. Ptaki sporo kosztowały, ale królowa wysłuchała uważnie wszystkich racji i bez mrugnięcia okiem zgodziła się na ten wydatek.

Hall podszedł do jednej z katapult i położył dłoń na jej ramieniu. Rozpierała go duma, gdy pod palcami poczuł gładkie drewno. Uwielbiał maszyny i urządzenia. Wciąż szukał sposobów na doskonalenie i przyspieszanie najróżniejszych czynności. W pierwszych latach służby wynalazł mocniejszy, bardziej giętki łuk, który obecnie był najpowszechniejszy wśród tearlińskich łuczników. W ramach projektu budowlanego dla ludności cywilnej przetestował system nawadniania oparty na pompach, za którego pomocą dostarczano wodę z Caddell na ogromne, wysuszone tereny południowego Almontu. Ale swoje koronne osiągnięcie miał właśnie przed sobą: pięć katapult, każda o długości sześćdziesięciu stóp, z grubym ramieniem z dębu tearlińskiego i lżejszą łyżką z drewna sosnowego. Każda była w stanie miotać ciężarem co najmniej dwustu funtów na odległość niemal czterystu jardów z wiatrem. Ramiona przymocowano do podstaw liną, a po obu stronach każdego stał żołnierz z toporem.

Hall zajął miejsce w łyżce pierwszej katapulty i zobaczył piętnaście dużych, ciężkich tobołów owiniętych cienką, lazurówoniebieską tkaniną. Z początku zamierzał wykorzystać katapulty do ciskania głazami, jak w przeszłości, i w ten sposób zrównać z ziemią znaczną część obozu armii Mort. Ale pomysł z tobołami, na który wpadł Blaser, był znacznie lepszy i zdecydowanie wart poświęcenia kilku

tygodni nieprzyjemnej pracy. Zawiniątko leżące najwyżej nieco przesunęło się pod wpływem wiatru, a płótno na nim zafalowało. Hall cofnął się i w ciszy poranka uniósł zaciśniętą dłoń. Topornicy chwycili za broń i unieśli ją wysoko ponad swoje ramiona.

Blaser zaczął coś nucić pod nosem. W trudnych sytuacjach zawsze to robił. Denerwujący nawyk. Hall jednym uchem wyłapał melodię: *Królowa Tearlingu*. Blaser strasznie fałszował, ale i tak udało się rozpoznać utwór. Zapadł w serca ludzi Halla. Pułkownik słyszał go nieraz w ciągu ostatnich kilku tygodni, gdy piaskowali drewno albo ostrzyli broń.

Mój prezent dla ciebie, królowo Kelsea, pomyślał i opuścił rękę.

Topory świsnęły w powietrzu, rozdzierając ciszę poranka. Po wzgórzu echem odbiło się przeraźliwe skrzypienie, gdy ramiona katapult zorientowały się, że są wolne. Jedno za drugim przeważyły się w górę i nabrały prędkości, szybując w stronę nieba, a serce podskoczyło Hallowi w piersi z czystej radości, która nigdy go nie opuściła, z radości, którą odczuwał nawet jako małe dziecko, gdy testował swoją pierwszą pułapkę na króliki.

Mój projekt! Działa!

Ramiona machin osiągnęły maksymalny poziom i zatrzymały się z hukiem, który rozniósł się po zboczach. Mógł zbudzić Mortmesneńczyków, ale i tak było już dla nich za późno.

Hall przez lunetę powiódł wzrokiem za jasnyniebieskimi tobołkami lecącymi w stronę obozu. Dotarły na największą wysokość i zaczęły opadać. Razem było ich siedemdziesiąt pięć. Lazurowe spadochrony rozwinęły się, wypełniając wiatrem, a ich ładunki kołysały się niewinnie.

W obozie Mort zapanowało poruszenie. Hall dostrzegł krzątanie: żołnierzy z bronią w rękach, którzy wyłaniali się z namiotów, wartowników cofających się do obozu w gotowości na atak.

– Jasper! – zawołał. – Dwie minuty!

Jasper kiwnął głową i zaczął zdejmować kaptury jastrzębiom, podając każdemu ptakowi niewielką porcję mięsa. Major Caffrey, który miał osobliwy dar rozpoznawania solidnych najemników, znalazł Jaspера trzy tygodnie wcześniej w mortmesneńskiej wiosce na pograniczu. Hall nie darzył jastrzębi z Mort sympatią większą niż w dzieciństwie, gdy ptaki te nurkowały nad zboczem w poszukiwaniu ofiar, lecz i tak podziwiał wprawę, z jaką sokolnik radził sobie ze swoimi podopiecznymi. Jastrzębie uważnie go obserwowały, przechylając głowy jak psy czekające, aż pan rzuci im patyk.

We wrogim obozowisku rozległ się ostrzegawczy krzyk. Zauważono spadochrony, które teraz, gdy opór wiatru zmaleł, opadały szybciej. Hall spojrział przez lunetę i zaczął odliczać pod nosem, kiedy pierwsze zawiniątko zniknęło za jednym z namiotów. Minęło dwanaście sekund, nim na równinie dało się słyszeć pierwszy wrzask.

Kolejne ładunki opadły na obóz. Jeden wylądował na wozie z zaopatrzeniem, a Hall z przewrotną fascynacją obserwował, jak liny rozluźniają się. Zawiniątko zadrżało, a potem otworzyło się gwałtownie, gdy pięć wściekłych grzechotników uświadomiło sobie, że znalazło się na wolności. Ich wzorzyste ciała skręcały się i poruszały błyskawicznie wśród dzid i strzał, a potem spadły z wozu i zniknęły Hallowi z oczu.

Krzyki odbiły się echem od wzgórz i w niecałą minutę w obozie zapanował zupełny chaos. Żołnierze wpadali na siebie, częściowo ubrani ludzie dźgali własne stopy mieczami. Niektórzy próbowali wspiąć się na wozy lub namioty, a nawet na plecy innych osób. Większość jednak uciekła z obozu, rozpaczliwie pragnąc znaleźć się z dala od tego zamieszania. Oficerowie na darmo wykrzykiwali rozkazy; wokół panowała panika i armia Mort zaczęła wylewać się z obozu na wszystkie strony, uciekając na zachód, w stronę Wzgórz Granicznych, albo na wschód i południe, przez równiny. Niektórzy

nawet bezmyślnie pognali na północ i wpadli na płycizny jeziora Karczmar. Nie mieli zbroi ani broni, wielu było całkowicie nagich. Kilku mężczyzn miało jeszcze krem do golenia na policzkach.

– Jasper! – zawołał Hall. – Już czas!

Jasper po kolei przywoływał jastrzębie na rękawicę z grubej skóry, która osłaniała jego rękę od kciuka po ramię, i wysyłał je w powietrze. Ludzie Halla z niepokojem obserwowali wzbijające się coraz wyżej ptaki, lecz jastrzębie były dobrze wyszkolone – zupełnie nie zważały na żołnierzy Tearlingu i pruły w dół z boczka ku obozowi Mort. Rozwierając szpony, zanurkowały wprost w tłum napływający z południowego i wschodniego krańca obozu, Hall zaś obserwował, jak pierwszy ptak chwyta za szyję uciekającego, który miał na sobie jedynie nie do końca zapięte spodnie. Jastrząb wyrwał mu żyłę, tworząc mgiełkę krwi w porannym słońcu.

W zachodniej części obozu żołnierze biegli falami na oślep w stronę drzew u stóp wzgórz. Ale w koronach czekali tearlińscy łucznicy i podziurawieni strzałami Mortmesneńscy zaczęli padać jak muchy, zapadając się w błoto na równinie. Od strony jeziora rozległy się kolejne wrzaski. Ludzie, którzy szukali tam schronienia, zrozumieli swój błąd i teraz rozpaczliwie rzucali się z powrotem ku brzegowi, wyjąc z bólu. Hall uśmiechnął się z odrobiną nostalgii. Wejście do jeziora stanowiło pewien rytuał inicjacji wśród dzieci z Idyllwild; Hall ciągle miał na nogach blizny po tej przygodzie.

Znaczna większość mortmesneńskiej armii porzuciła już obóz. Hall z zalem spojrzał ku armatom, których nikt nie pilnował. Nie miał jednak jak ich teraz zdobyć. Gdziekolwiek spojrzał, widział grzechotniki pełzające wśród namiotów w poszukiwaniu miejsc nadających się na gniazda. Zastanawiał się, gdzie jest generał Genot – czy uciekł razem ze swoimi ludźmi, czy jego zwłoki leżą wśród innych u stóp z boczka. Hall nauczył się szanować Genota,

znał jednak jego ograniczenia, te same problemy bowiem miał Bermond. Genot chciał spokojnych i racjonalnych działań wojennych. Nie tolerował nadmiernej brawury i rażącej niekompetencji. A jednak Hall wiedział, że w każdej armii było pełno ludzi wykazujących te przywary.

– Jasper! – zawołał. – Twoje ptaki dobrze się spisały. Sprowadź je z powrotem.

Sokolnik zagwizdał głośno i przeciągle, a potem czekał, zacieśnwszy paski, którymi skórzana rękawica była przymocowana do jego przedramienia. W ciągu kilku sekund jastrzębie przyfrunęły z powrotem i zaczęły krążyć nad szczytem wzgórza. Jasper wydawał z siebie przerywany gwizd, co chwilę zmieniając jego wysokość, i ptaki po kolei lądowały na przedramieniu opiekuna, gdzie dostawały w nagrodę po kilka kęsów królika, a potem sokolnik zakładał im kaptury i przesadzał na żerdź.

– Odwołaj łuczników – zwrócił się Hall do Blasera. – I znajdź Emmetta. Każ mu wysłać posłańców do generała i królowej.

– Z jaką wiadomością?

– Powiedz, że zyskałem dla nas trochę czasu. Co najmniej dwa tygodnie, nim Mortmesneńscy się przegrupują.

Blaser odszedł, a Hall odwrócił się i popatrzył na taflę jeziora Karczmar, które wyglądało niczym oślepiająca połać czerwonego ognia w blasku wschodzącego słońca. Widok ten, który w dzieciństwie wzbudzał w nim nostalgiczne uczucia, teraz sprawiał wrażenie okrutnej przestrogi. Żołnierze Mort zostali rozproszeni, lecz nie na długo, a jeśli ludzie Halla stracą to zbocze, nic już nie powstrzyma Mort przed rozdarciem linii obrony tak starannie ustawionych przez Bermonda. Tuż za wzgórzem rozciągała się Równina Almontu: tysiące mil kwadratowych płaskiego terenu, gdzie nie było zbyt wiele miejsc na manewry, a odosobnione gospodarstwa i wioski były bezbronne. Armia Mort była czterokrotnie liczniejsza,

dwukrotnie lepiej wyposażona i gdyby dotarła na równinę, wszystko skończyłoby się w oczywisty sposób: rzeźnią.

Ewen był nadzorcą więziennym w twierdzy już od kilku lat, od kiedy jego tatko przestał pracować. Nigdy nie trafił mu się więzień, którego uznałby za naprawdę groźnego. Większość stanowili mężczyźni, którzy sprzeciwili się regentowi, i zazwyczaj trafiali do lochów tak wycieńczeni i pobici, że byli w stanie jedynie dojść chwiejnym krokiem do cel i upaść. Kilku zmarło na oczach Ewena, choć tatko powtarzał mu, że to nie jego wina. Ewen nie lubił tego momentu, gdy wchodził do celi i znajdował ich zimne ciała na pryzkach, ale regent i tak się tym nie przejmował. Pewnej nocy nawet osobiście zszedł do lochów, wlokąc za sobą jedną ze swoich kobiet – rudą i tak piękną, że mogłaby uchodzić za postać z bajek o wróżkach, które opowiadał Ewenowi tatko. Tyle że na szyi miała powróż. Regent sam ją zamknął, cały czas obrzucając wyzwiskami, i warknął do Ewena: „Żadnego jedzenia ani picia! Zostanie tu, dopóki nie powiem, że może wyjść!”.

Ewen nie lubił więzić kobiet. Ta nie odzywała się ani nawet nie płakała, tylko wpatrywała się kamiennym wzrokiem w ścianę celi. Ewen zignorował rozkaz regenta. Nakarmił ją i napił, uważnie patrząc na zegar. Wiedział, że sznur na szyi sprawia jej ból, i w końcu gdy nie mógł już tego znieść, wszedł do celi i poluzował pętlę. Żałował, że nie jest uzdrowicielem i nie potrafi nic zaradzić na pręgę zdartej skóry wokół jej gardła, ale tatko nauczył go jedynie radzić sobie z podstawowymi problemami takimi jak rany cięte. Tatko zawsze cierpliwie znosił ślamazarność Ewena, nawet jeśli wynikały z niej problemy. Ale nie potrzeba było geniusza, żeby przez noc utrzymać kobietę przy życiu, a tatko byłby zawiedziony, gdyby Ewenowi się nie udało. Kiedy następnego dnia regent po nią przyszedł, Ewenowi niesamowicie ulżyło. Regent przeprosił,

ale kobieta wystrzeliła z lochów, nie zaszczywiwszy go choćby spojrzeniem.

Od kiedy na tronie zasiadła nowa królowa, Ewen nie miał zbyt wiele roboty. Królowa zwróciła wolność wszystkim więźniom regenta, czym zaskoczyła Ewena, ale tatko powiedział mu, że regent lubił wtrącać ludzi do lochu za to, że powiedzieli coś, co mu się nie spodobało, a królowa więziła tylko tych, którzy zrobili coś złego. Tatko twierdził, że to rozsądne, a gdy Ewen chwilę się nad tym zastanowił, przyznał mu rację.

Dwadzieścia siedem dni wcześniej (Ewen zapisał to w dzienniku) Straż Królewska wpadła do lochów, prowadząc związanego posiwiąłego więźnia, który wyglądał na wyczerpanego, ale – co Ewen zauważył z ulgą – nie był ranny. Trzej strażnicy, nie pytając o pozwolenie, wciągnęli mężczyznę do otwartej celi numer trzy, lecz Ewen nie miał nic przeciwko temu. Nigdy nie był tak blisko Straży Królewskiej, ale od tatka wiedział o tych ludziach wszystko: chronili królową przed niebezpieczeństwem. Zdaniem Ewena było to najwspanialsze i najważniejsze zajęcie na świecie. Cieszył się, że jest więziennym nadzorcą, ale gdyby urodził się mądrzejszy, najbardziej chciałby zostać takim wysokim, krzepkim mężczyzną w szarym płaszczu.

– Traktuj go dobrze – rozkazał dowódca o jaskraworudej czuprynie. – Rozkaz królowej.

Choć włosy strażnika zafascynowały Ewena, starał się na niego nie gapić, sam bowiem nie lubił, gdy ludzie gapili się na niego. Zamknął celę na klucz, dostrzegając przy tym, że więzień położył się już na pryczy i zamknął oczy.

– Jak się nazywa i co zrobił? Muszę zapisać w dzienniku.

– Javel. Skazany za zdradę. – Rudy dowódca na chwilę spojrział za kraty, a potem pokręcił głową. Ewen patrzył, jak mężczyźni

odchodzą pewnym krokiem ku schodom, i słuchał ich cichnących w korytarzu głosów.

- Poderżnąłbym mu gardło.
- Myślisz, że jest bezpieczny z tym głupkiem?
- To już sprawa pomiędzy królową a Buławą.
- Musi znać się na rzeczy. Nikt nigdy nie uciekł.
- I tak uważam, że idiota nie może wiecznie być więziennym nadzorcą.

Ewen drgnął, usłyszawszy to słowo. Tak nazywali go prześladowcy, zanim urósł, ale nauczył się już nie zważać na to określenie. Jednak z ust królewskiego strażnika zabolalo bardziej. W dodatku myśli Ewena zaczęła zaprzętać nowa, przerażająca możliwość: że ktoś mógłby go zastąpić. Kiedy tatko odszedł z pracy, udał się na rozmowę z regentem, by upewnić się, że Ewen może tu zostać. Ale z królową tatko raczej nie rozmawiał.

Ten nowy więzień, Javel, był jednym z najmniej problematycznych, jakich kiedykolwiek pilnował Ewen. Prawie się nie odzywał, jedynie zdawkowo dawał Ewenowi znać, kiedy kończył posiłki, brakowało mu wody albo chciał, by opróżniono jego wiadro z nieczystościami. Czasami Ewen nawet na wiele godzin zapominał, że Javel w ogóle tam jest, ale ostatnio myślał właściwie tylko o tym, że może zostać zwolniony ze swojego stanowiska. Co by zrobił, gdyby do tego doszło? Nie byłby w stanie nawet powiedzieć tatko wi, jak wyraził się o nim królewski strażnik. Nie chciał, by tatko o tym wiedział.

Pięć dni po tym, jak Javel pojawił się w więzieniu, po schodach wmaszerowało kolejnych trzech strażników. Jednym z nich był Lazarus zwany Buławą, postać, którą rozpoznawał nawet Ewen, choć tak rzadko opuszczał lochy. Tatko wielokrotnie opowiadał Ewenowi o Buławie i twierdził, że ten człowiek miał w sobie coś nadprzyrodzonego i potrafiłby uciec z każdej celi. („Prawdziwa

zaraza dla każdego nadzorcy, Ew!”, pomstował tatko nad kubkiem herbaty). Pozostali strażnicy królowej robili wrażenie, ale Buława był dziesięć razy bardziej imponujący i Ewen przyglądał mu się uważnie, gdy tylko mógł sobie na to pozwolić. Kapitan straży w jego lochu! Nie mógł się doczekać, kiedy powie tatkowi.

Pozostali dwaj strażnicy nieśli między sobą jakiegoś więźnia niczym worek ziemniaków, a gdy Ewen otworzył celę numer jeden, wrzucili go na pryczę. Buława patrzył na mężczyznę bardzo długo. W końcu wyprostował się, odchrząknął głęboko i splunął gęstą, żółtą śliną, która wylądowała prosto na policzku więźnia.

Zdaniem Ewena nie było to miłe zachowanie. Bez względu na to, jakie przestępstwo popełnił ten człowiek, z pewnością dość już wycierpiał. Wyglądał nędznie, był zagłodzony i odwodniony. Jego nogi i tors pokryte były grubymi pręgami, ubrudzonymi zaschniętym błotem. Miał także głębokie, czerwone bruzdy na nadgarstkach. Na głowie widać było strupy w miejscach, z których powyrywano mu pasma włosów. Ewen nie wyobrażał sobie, co mogło mu się przydarzyć.

Buława odwrócił się do Ewena i pstryknął palcami.

– Nadzorco!

Ewen zrobił krok naprzód, starając się sprawiać wrażenie jak najwyższego. Choć miał braci mądrzejszych od siebie, tatko wybrał go na swojego ucznia właśnie dlatego, że Ewen był duży i silny. Ale Buławie i tak sięgał zaledwie do nosa. Zastanawiał się, czy Lazarus wie o jego słabości.

– Pilnuj go dobrze, nadzorco. Żadnych odwiedzin. Żadnych przechadzek poza celę, żeby rozprostować kości. Nic a nic.

– Tak jest – odparł Ewen, szeroko otwierając oczy, i patrzył, jak strażnicy wychodzą z lochu. Żaden tym razem go nie znieważył, ale dopiero po ich wyjściu Ewen zdał sobie sprawę, że zapomniał się dowiedzieć, kim jest nowy więzień i jakie popełnił

przestępstwo, bo musiał zapisać te informacje w dzienniku. Głupki! Buława z pewnością zauważał takie rzeczy.

Następnego dnia Ewena odwiedził tatko. Ewen zajmował się nowym więźniem najlepiej, jak potrafił, choć jego rany mogły zaleczyć chyba wyłącznie czas lub magia. Ale tatko tylko spozryzał na człowieka na prycy i splunął tak samo jak Buława.

– Nie kłopotuj się leczeniem tego drania, Ew.

– Kto to jest?

– Stolarz. – Łysina taty błyszczała nawet w mdłym świetle pochodni, a Ewen z pewnym zmartwieniem dostrzegł, że skóra na czole zrobiła się cieniutka jak płótno. Gdzieś w najciemniejszych zakamarkach umysłu Ewen wiedział, że nawet tatko w końcu umrze. – Konstruktor.

– A co budował, tatku?

– Klatki – zwięźle odpowiedział tatko. – Bądź zatem bardzo ostrożny, Ew.

Zbity z tropu Ewen rozejrzył się wokoło. W więzieniu było mnóstwo klatek. Ale tatko chyba nie chciał o tym rozmawiać, więc Ewen zachował te informacje w głowie obok pozostałych tajemnic, których nie rozumiał. Co jakiś czas, zazwyczaj gdy Ewen nawet się nie starał, udawało mu się rozwikłać którąś z takich zagadek i czuł się wtedy naprawdę niezwykle. Wyobrażał sobie, że tak czują się ptaki szybujące po niebie. Ale choćby nie wiadomo jak intensywnie wpatrywał się w człowieka w celi, nie był w stanie wpaść na żadne odpowiedzi.

Po tych wydarzeniach Ewen był przekonany, że niczyje odwiedziny w lochu już go nie zaskoczą, ale był w błędzie. Przed dwoma dniami wpadła tam para żołnierzy tearlińskiej armii w czarnych mundurach, włokąc między sobą jakąś kobietę. Ale tym razem nie taką piękność jak ta rudowłosa od regenta. Ta pluła i kopała, wykrzykując przekleństwa pod adresem mężczyzn, którzy ciągnęli

ją za ręce. Ewen nigdy nie widział nikogo takiego. Miał wrażenie, że od stóp do głów jest biała, jakby jej ciało zupełnie straciło barwy. Włosy miała podobnie wyblakłe jak siano, które za długo leżało na słońcu. Nawet sukienkę miała białą, choć Ewen odniósł wrażenie, że jej strój mógł kiedyś być niebieski. Wyglądała jak duch. Żołnierze usiłovali wepchnąć ją do celi numer dwa, ale chwyciła się szczebli i zaparła w wejściu.

– Nie utrudniaj tego – wysapał wyższy z żołnierzy.

– Spierdalaj, ty obwisły kutafonie!

Mężczyzna cierpliwie starał się odgiąć jej zaciśnięte palce, drugi zaś próbował wciągnąć ją do celi. Ewen trzymał się z tyłu, gdyż nie wiedział, czy powinien się wtrącać. Kobieta spojrzała na niego i aż go zmroziło. Miała różowe obwódki wokół tęczówek, które w samym środku były niebieskie i tak jasne, że błyszczały jak lód. Ewen dostrzegł w nich coś straszliwego – zwierzęcego i niezdrowego. Kobieta otworzyła usta i Ewen wiedział, co się stanie, jeszcze zanim zdążyła się odezwać.

– Wiem o tobie wszystko, chłopcze. Jesteś półgłówkiem.

– Pomóż nam, na litość boską! – warknął jeden z żołnierzy.

Ewen skoczył naprzód. Nie chciał w żaden sposób dotykać tej kobiety zjawy, więc chwycił ją za sukienkę i zaczął ciągnąć. Kiedy obaj żołnierze mogli skupić się na jej palcach, w końcu zdołali je podważyć i odczepić od szczebli, a potem wepchnęli ją do środka, gdzie potknęła się o pryczę i upadła na ziemię. Ewen ledwie zdołał zamknąć drzwi, nim kobieta rzuciła się ku kratom, obrzucając wszystkich trzech kolejnymi przekleństwami.

– Chryste, co za robota! – mruknął jeden z żołnierzy. Otarł czoło, na którym miał brodawkę przypominającą grzybek. – Ale skoro już została zamknięta, nie powinna ci sprawiać zbyt wielu problemów. Jest ślepa jak kret.

– Trzeba tylko uważać, gdy sowa wybiera się na polowanie – dodał drugi i zaśmiali się razem.

– A jej imię i przewinienie?

– Brenna. A przewinienie... – Żołnierz z pieprzykiem spojrział na przyjaciela. – Trudno powiedzieć. Pewnie zdrada.

Ewen zapisał to w dzienniku, a żołnierze wyszli z lochów, teraz już zadowoleni po wykonanej robocie. Powiedzieli wcześniej, że kobieta jest niewidoma, ale Ewen szybko odkrył, że wcale tak nie jest. Kiedy chodził, ruszała głową i wodziła za nim niebieskoróżowymi oczami. Gdy podnosił wzrok, widział wpatrzony w siebie oczy i okropny uśmiech na jej ustach. Ewen zazwyczaj wnosił więźniom jedzenie do cel, był bowiem za duży, żeby nieuzbrojony mężczyzna mógł dać mu radę. Teraz jednak cieszył się, że cela miała też małe drzwiczki, przez które mógł wsuwać kobiecie tace z jedzeniem. Dzielące ich kraty dodawały mu otuchy. Cela numer dwa najlepiej nadawała się dla niebezpiecznych więźniów, leżała bowiem naprzeciwko niewielkiej kwatery Ewena, który miał bardzo lekki sen. Ale teraz, gdy trzeba było położyć się spać, nie mógł zasnąć, wiedząc, że spoczywa na nim to okropne spojrzenie, i w końcu przesunął swoją pryczę w kąt, tak żeby nie było widać go przez drzwi. Mimo wszystko nawet w ciemności czuł obecność tej cierpiącej na bezsenność i złośliwej kobiety, dlatego przez kilka ostatnich nocy spał niespokojnie i często się budził.

Tego wieczoru po kolacji, gdy sprawdził, czy w pustych celach jest czysto i nie ma szcurków (zupełnie niepotrzebnie, bo czyścić lochy co drugi dzień), usiadł do swoich obrazków. Nieustannie próbował namalować to, co widzi, ale nigdy mu się nie udawało. Na pozór było to łatwe, zwłaszcza gdy miało się do dyspozycji odpowiedni papier, dobre farby i pędzle – a tatko podarował mu je na ostatnie urodziny – ale obrazy zawsze umykały mu gdzieś pomiędzy myślami a papierem. Ewen nie rozumiał, dlaczego tak

jest, ale po prostu tak było. Próbował namalować Javela, więźnia z celi numer trzy, kiedy nagle drzwi u szczytu schodów otwarły się z hukiem.

Przez chwilę Ewen bał się, że szykuje się ucieczka z więzienia. Tatko ostrzegał go przed tym – to największa hańba, jaka mogła spotkać nadzorcę. Przed drzwiami stało na warcie dwóch żołnierzy, ale w lochu Ewen był sam. Nie wiedział, co by zrobił, gdyby ktoś próbował się tu wedrzeć siłą. Chwycił nóż leżący na biurku.

Ale po trzaśnięciu drzwiami uszu Ewena dobiegły głosy i tupot stóp; tak go to zaskoczyło, że był w stanie jedynie siedzieć przy biurku i czekać, aż zobaczy, kto pojawi się w korytarzu. Po chwili do lochów weszła kobieta. Była wysoka, miała krótko przystryżone brązowe włosy i srebrną koronę na głowie. Na cienkich srebrnych łańcuszkach na jej szyi wisiały dwa wielkie niebieskie klejnoty, a wokół niej szło pięciu królewskich strażników. Ewen patrzył na to wszystko przez kilka sekund, a potem poderwał się na równe nogi: królowa!

Najpierw spojrzała przez kraty na celę numer trzy.

– Co u ciebie, Javelu?

Mężczyzna na pryczy podniósł pusty wzrok.

– Dobrze, Wasza Wysokość.

– Nie masz nic więcej do powiedzenia?

– Nie.

Królowa położyła dłonie na biodrach i fuknęła tak jak tatko, kiedy okazywał rozczarowanie, a potem podeszła do celi numer jeden i popatrzyła na leżącego tam rannego.

– Ależ on żałośnie wygląda.

Buława roześmiał się.

– Miał ciężką przeprawę, pani. Chyba nawet cięższą, niż sam bym obmyślił. Chłopi złapali go w Zboczu Devina, kiedy próbował przehandlować stolarkę za jedzenie. Przywiązali go do wozu

jadącego do Nowego Londynu, a gdy w końcu zemdlął, przez resztę drogi go ciągnęli.

– Zapłaciłeś tym chłopom?

– Całe dwieście, Wasza Wysokość. To pomyślny przełom. Potrzebna nam teraz lojalność przygranicznych osad, a dzięki tym pieniądzom Zbocze Devina może zapewnić sobie utrzymanie przez rok. Nieczęsto widzą tam pieniądze.

Królowa pokiwała głową. Nie wyglądała jak królowa z opowieści tatka, który zawsze przedstawiał ją jako filigranową, ładną kobietę, podobną do tej rudowłosej, którą przyprowadził tu regent. Wyglądała jak... twarda sztuka. Może to przez tę krótką, męską fryzurę, a może przez to, że stała na szeroko rozstawionych nogach, a jedną ręką ze zniecierpliwieniem poklepywała się po biodrze. Ewenowi przyszło do głowy ulubione powiedzenie tatka: wyglądała jak ktoś, komu nie chciałbyś zaleźć za skórę.

– Hej, Bannaker! – Królowa pstryknęła palcami do człowieka na pryczy.

Więzień jęknął, łapiąc się dłońmi za głowę. Z pręg na jego ramionach zaczęły już schodzić strupy i ciało zaczęło się goić, ale wciąż sprawiał wrażenie bardzo osłabionego i mimo przestróg tatka Ewen przez chwilę mu współczuł.

– Szkoda zachodu, pani – odezwał się Buława. – Przez jakiś czas niczego z niego nie wydobędziesz. Po takiej podróży ludzie mogą stracić rozum. Zwykle tak się dzieje.

Królowa rozejrzała się po lochu i spojrzenie jej zielonych oczu spoczęło na Ewenie, który momentalnie stanął na baczność.

– Czy to ty jesteś nadzorcą mojego więzienia?

– Tak, Wasza Wysokość. Ewen.

– Otwórz tę celę.

Ewen postąpił naprzód, szukając klucza przy pasie. Cieszył się, że tatko wszystkie poznaczał, bo dzięki temu łatwo było znaleźć

ten z dużą dwójką. Nie chciał, żeby akurat ta kobieta musiała czekać. Idąc za radą tatka, raz w miesiącu oliwił zamki, i z zadowoleniem stwierdził, że klucz obrócił się gładko, bez zgrzytów i oporu. Cofnął się o krok, gdy królowa weszła do celi z kilkoma strażnikami. Zwróciła się do jednego z nich – wielkiego, paskudnie szczerbatego mężczyzny.

– Podnieś go.

Postawny strażnik zwłókł więźnia z pryczy za szyję i uniósł go tuż nad ziemią.

Królowa wymierzyła jeńcowi policzek.

– Jesteś Liam Bannaker?

– Tak – wycharczał niskim, gardłowym głosem. Z jego nosa popłynęła strużka krwi, a Ewen skrzywił się na ten widok. Dlaczego są tacy niemili?

– Gdzie jest Arlen Thorne?

– Nie wiem.

Królowa wypowiedziała brzydkie słowo, za którego powtórzenie tatko dał kiedyś Ewenowi lanie, i wtedy wtrącił się Buława.

– Kto pomagał ci budować klatki?

– Nikt.

Buława odwrócił się do królowej, a Ewen z fascynacją patrzył, jak przez dłuższą chwilę zatrzymali na sobie wzrok. Rozmawiali ze sobą... ale nawet nie otwierali ust!

– Nie – w końcu szepnęła królowa. – Nie będziemy z tym teraz zaczynać.

– Pani...

– Nie powiedziałam, że nigdy tego nie zrobimy, Lazarusie. Ale nie w sytuacji, gdy mielibyśmy zyskać tylko tyle.

Wyszła z celi, gestem dając znać strażnikom, by poszli za nią. Wielki żołnierz cisnął więźnia z powrotem na pryczę, a ten zaczął dyszeć, świszcząc jak miech akordeonu. Czując na sobie taksujące

spojrzenie Buławy, Ewen natychmiast zamknął za nimi celę na klucz.

– Za to ty – rzekła królowa, przenosząc wzrok na kobietę z celi numer dwa – ty stanowisz prawdziwe trofeum, prawda?

Kobieta zjawa zachichotała, a odgłos ten przypominał tarcie metalu o szkło. Ewen miał ochotę zatkać sobie uszy. Kobieta uśmiechnęła się od ucha do ucha, ukazując zepsute dolne zęby.

– Kiedy zjawi się mój pan, ukarze cię za to, że nas rozdzieliłaś.

– Dlaczego on jest twoim panem? – zapytała królowa. – Co takiego w ogóle dla ciebie zrobił?

– Ocalił mnie.

– Jesteś głupia. Zostawił cię, by ocalić własną skórę. Jesteś tylko własnością handlarza niewolników.

Kobieta rzuciła się na kraty, wymachując rękami jak szalejący w klatce ptak. Nawet Buława cofnął się o krok. Ale królowa szła naprzód, dopóki nie znalazła się zaledwie kilka cali od krat. Była tak blisko, że nawet Ewen chciał krzyknąć, żeby ją ostrzec.

– Spójrz na mnie, Brenno. – Kobieta podniosła wzrok, krzywiąc się, jakby chciała się odwrócić, ale nie mogła. – Masz rację – wyszeptała królowa. – Twój pan tu przyjdzie. A wtedy go dopadnę.

– Dzięki mojej magii nie stanie mu się krzywda.

– Ja też mam magiczną moc, kochanieńka. Nie wyczuwasz jej? Twarz Brenny nagle skrzywiła się z bólu.

– Powieszę trupa twojego pana na murach mojej twierdzy. Rozumiesz?

– Nie możesz tego zrobić! – wrzasnęła kobieta zjawa. – Nie możesz!

– Sępy się ucieszą – kontynuowała królowa łagodnym tonem. – Nie ustrzeżesz go. Jesteś wyłącznie przynętą.

Kobieta krzyknęła z wściekłości, wydając z siebie wysoki, nieznośny odgłos, niczym pisk polującego ptaka. Ewen zasłonił uszy i zauważył, że kilku strażników zrobiło to samo.

– Cicho bądź! – rozkazała królowa, a wrzaski kobiety ucichły tak samo nagle, jak się zaczęły. Wpatrywała się w królową różowymi oczami szeroko otwartymi ze strachu i ciężko opadła na pryczę.

Królowa zwróciła się z powrotem do Ewena.

– Traktuj wszystkich tych więźniów humanitarnie.

Ewen przygryzł wargę.

– Nie znam takiego słowa, Wasza Wysokość.

– Humanitarnie – powtórzyła królowa ze zniecierpliwieniem. – Mają dostawać jedzenie, wodę i ubrania i nie wolno się nad nimi znęcać. Dopilnuj, by się przespałi.

– Trudno jest zmusić kogoś do zaśnięcia, Wasza Wysokość.

Królowa zmarszczyła brwi, obrzucając go bardzo surowym spojrzeniem, i Ewen zdał sobie sprawę, że powiedział coś nie tak. Było mu łatwiej, kiedy był tylko uczniem, a nadzorcą pozostawał tatko. On zawsze wiedział, co powiedzieć, kiedy Ewen czegoś nie rozumiał. Już miał przeprosić – bo zawsze lepiej zrobić to, zanim ktoś się zdenerwuje – ale oblicze królowej nagle się rozjaśniło.

– Jesteś tu sam, Ewenie?

– Tak, Wasza Wysokość. Od czasu gdy tatko odszedł z pracy. Za bardzo dokuczał mu artretyzm.

– Bardzo tu u ciebie czysto.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – odparł z uśmiechem, bo oprócz tatka była pierwszą osobą, która to zauważyła. – Sprzątam co drugi dzień.

– Tęsknisz za tatkiem?

Ewen zamrugał, zastanawiając się, czy nie stroi sobie z niego żartów. Regent lubił tak robić, a jego straż uwielbiała pozwalać sobie na jeszcze więcej. Ewen nauczył się dostrzegać oznaki takich

zamiarów w ludzkich twarzach: malowała się na nich szelmowska złośliwość, która czasami przygasała, lecz nigdy nie znikwała. Oblicze królowej było surowe, ale nie złośliwe, dlatego Ewen odpowiedział szczerze.

– Tak. Wielu rzeczy nie rozumiem, a tatko zawsze mi wszystko tłumaczył.

– Ale lubisz swoją pracę.

Ewen wbił wzrok w ziemię, myśląc o strażniku, który kiedyś nazwał go idiotą.

– Tak.

Królowa gestem wskazała, by stanął przed nią numer dwa.

– Ta kobieta może wydawać się niegroźna, ale nie daj się zwieść. Jest także bardzo cenna. Będziesz w stanie obserwować ją każdego dnia i nie pozwolić, by namąciła ci w głowie?

Ewen wpatrzył się w kobietę zjawę. W lochach bywali już więksi i groźniejsi więźniowie. Kilku z nich próbowało przechytryć Ewena na różne sposoby, od udawania choroby przez przekupstwo po błaganie, by pożyczył im miecz. Zjawa wpatrywała się w królową oczami błyszczącymi z nienawiści, Ewen zaś wiedział, że królowa się nie myli: kobieta mogła sprawiać problemy, była bowiem sprytna i szybka.

Ale ja też potrafię być sprytny.

– Na pewno – odparła królowa, a Ewen podskoczył, bo przecież niczego nie powiedział. Odwrócił się i zobaczył coś, co wprawilo go w osłupienie: niebieskie klejnoty wiszące na szyi królowej połyskiwały jasno w świetle pochodni. – Raz w tygodniu – kontynuowała – wejdiesz na górę i zdasz mi raport na temat trojga więźniów. Jeżeli trzeba, rób notatki. – Ewen kiwnął głową zadowolony, że jej zdaniem potrafi czytać i pisać. Ludzie zazwyczaj zakładali, że nie umie, ale tatko go nauczył, żeby Ewen mógł prowadzić dziennik. – Wiesz, czym jest cierpienie, Ewenie?

– Wiem, Wasza Wysokość.

– Za tą trójką stoi pewien człowiek: wysoki, przeraźliwie chudy mężczyzna o jasnyniebieskich oczach. Przynosi ludziom cierpienie. Chcę dostać go żywego. Jeśli kiedykolwiek go zobaczysz, natychmiast powiadom Lazarusa. Rozumiesz?

Ewen ponownie skinął głową, a przed oczami miał wyłącznie obraz, który zaszczepliła w jego myślach. Widział właśnie tego człowieka: majaczącą postać przypominającą stracha na wróble o oczach niczym wielkie niebieskie lampy. Pragnął go namalować.

Królowa wyciągnęła rękę i Ewen po chwili zdał sobie sprawę, że chciała uścisnąć mu dłoń. Strażnicy spięli się, kilku położyło dłonie na mieczach, więc Ewen podał jej rękę bardzo ostrożnie i pozwolił, by to ona nią potrząsnęła. Zdziwił się, że królowa nie ma żadnych pierścieni. Zastanawiał się, co powie tatko, gdy dowie się, że syn poznał królową i że była zupełnie inna, niż Ewen sobie wyobrażał. Stał przy swoich celach, obserwując wszystkich więźniów, ale od czasu do czasu zerkał na królową. Pięciu strażników otoczyło ją i niczym fala poprowadziło wzdłuż korytarza, a potem po schodach i za drzwi więzienia.

Kelsea Glynn miała charakterek.

Nie była z tego dumna. Nie znosiła swojej złości, bo nawet gdy serce waliło jej w piersi, a wzrok przesłaniała gruba zasłona wściekłości, wciąż wyraźnie widziała prostą ścieżkę prowadzącą od niepohamowanego gniewu do samozniszczenia. Gniew nie pozwalał jasno ocenić sytuacji i podejmować odpowiednich decyzji. Gniew był kaprysem, na który mogło sobie pozwolić dziecko, ale nie królowa. Carlin wbijała jej to do głowy nieraz, a Kelsea słuchała tych rad. Ale nawet słowa Carlin nie miały żadnego znaczenia, gdy wściekłość wzbierała w Kelsea niczym fala, która zmywała wszelkie przeszkody. Kelsea miała świadomość, że choć jej gniew

jest zgubny, jest także czysty, i kiedy go odczuwa, najbliżej jej do dziewczyny, którą była w głębi serca, pod wszystkimi warstwami zasad, które od urodzenia jej wpajano. Gniew towarzyszył jej już w chwili narodzin i Kelsea często zastanawiała się, jak się poczuje, kiedy będzie mogła dać upust swojej furii, porzucić konwenanse i pozwolić wyjść na jaw swojej prawdziwej naturze.

Teraz bardzo ciężko pracowała nad poskromieniem tego gniewu, lecz każde słowo wypowiedane przez człowieka siedzącego przy drugim końcu stołu sprawiało, że mroczna fala za tamą odrobinę wzbierała. Obok niej siedzieli Buława i Pen, a nieco dalej Arliss i ojciec Tyler. Ale Kelsea widziała tylko generała Bermonda na drugim końcu stołu. Przed nim leżał żelazny hełm ozdobiony idiotycznym niebieskim pióropuszem. Bermond miał na sobie pełną zbroję, bo właśnie przyjechał z frontu.

– Nie chcemy przesadnie przerzedzić armii, Wasza Wysokość. A przy tym planie nie wykorzystamy odpowiednio naszych zasobów.

– Czy o wszystko trzeba z panem walczyć, generale?

Pokręcił głową, uparcie trzymając się swoich racji.

– Wasza Wysokość, możesz obronić królestwo albo ochronić ludzi. Masz za mało żołnierzy, żeby zrobić jedno i drugie.

– Ludzie są ważniejsi niż ziemia.

– Stwierdzenie godne podziwu, Wasza Wysokość, ale strategia wojenna kiepska.

– Wie pan, że ci ludzie ucierpieli w czasie ostatniego najazdu.

– Wiem lepiej od Waszej Wysokości, bo wtedy nawet jeszcze nie było cię na świecie, pani. Caddell spłynęła krwią. To było masowe morderstwo.

– I masowy gwałt.

– Gwałt jest narzędziem wojennym. Kobiety się z tym uporały.

– O Chryste – wyszeptał Buława i położył dłoń na ramieniu Kelsea, żeby ją uspokoić. Dziewczyna drgnęła z poczuciem winy, bo zrobił to w odpowiednim momencie. Może i generał Bermond był stary i kulawy, ale i tak miała ochotę wywlec go z miejsca i sprzedać mu kilka solidnych kopniaków. Wzięła głęboki wdech i odezwała się ostrożnie.

– Mężczyzn gwałcono tak samo jak kobiety, generale.

Bermond zmarszczył brwi ze złości.

– To kłamstwa, Wasza Wysokość.

Kelsea kątem oka wyłowiła spojrzenie ojca Tylera i dostrzegła, że nieznacznie pokręcił głową. Nikt nie chciał mówić o tym aspekcie najazdu nawet dwadzieścia lat po fakcie, ale do Arvathu trafiło wiele rzetelnych raportów od proboszczów okolicznych parafii – jedynych obserwatorów, którzy spisali wydarzenia z okresu najazdu. Gwałt był narzędziem wojennym, a żołnierze Mort nie zważali na płęć.

Kelsea nagle pożałowała, że w naradzie nie uczestniczy pułkownik Hall. Nie zawsze się z nią zgadzał, ale przynajmniej był skłonny spojrzeć na różne zagadnienia ze wszystkich stron, w przeciwieństwie do generała, którego umysł już od dawna nie był zbyt otwarty. Ale kilka dni temu armia Mort dotarła do granicy i Hall nie mógł opuścić posterunku.

– Odbiegamy od tematu, Wasza Wysokość – zauważył Arliss.

– Rzeczywiście. – Kelsea zwróciła się z powrotem do Bermonda.

– Musimy chronić tych ludzi.

– Ależ oczywiście, Wasza Wysokość, zbudujemy obóz dla uchodźców i przyjmijmy każdego. Ale nie odciągajmy żołnierzy od spraw ważniejszych. Ci, którzy potrzebują twojej opieki, sami potrafią znaleźć drogę do miasta.

– Bez eskorty to niebezpieczna podróż, zwłaszcza z małymi dziećmi. Pierwsza fala uciekinierów ledwie zdążyła zejść ze wzgórz

i już doszły nas słuchy na temat prześladowań i aktów przemocy. Skoro to jedyne, co możemy im zaoferować, wielu postanowi zostać w swoich wioskach, nawet gdy armia Mort podejdzie bliżej.

– To ich wybór, Wasza Wysokość.

Tama w umyśle Kelsea zadrżała w posadach.

– Naprawdę wie pan, jakie postępowanie będzie właściwsze, generale, czy po prostu udaje pan, że nie wie, bo tak jest łatwiej?

Bermond poczerwieniał.

– W tej sytuacji jest kilka właściwych wyjść.

– Nie sądzę. Mamy mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy przez całe życie zajmowali się wyłącznie uprawą roli. Jeśli mają jakąkolwiek broń, to drewnianą. Ten najazd to będzie istna rzeź.

– Zgadza się, a najlepszym sposobem, by ich ochronić, jest dopilnowanie, by armia Mort nigdy nie wkroczyła do tego królestwa.

– Naprawdę pan sądzi, że nasza armia utrzyma granicę?

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Gdybym był innego zdania, można by mnie było oskarżyć o zdradę.

Kelsea przygryzła wewnątrz policzka, gdyż całkowicie zbiła ją z tropu logika jego stwierdzenia. Z pogranicza przychodziły regularnie jak w zegarku ponure raporty Halla, ale i bez informacji od niego królowa wiedziała, jak naprawdę wygląda sytuacja. Armia Tearlingu nie miała szans wobec nadciągającego zagrożenia. W zeszłym tygodniu przed oczami Kelsea zaczęła malować się pewna wizja: zachodnia część Równiny Almontu zalana przez morze czarnych namiotów i żołnierzy. Dziewczyna wychowana przez Carlin Glynn nigdy nie uwierzyłaby wizjom, ale horyzonty świata Kelsea wyszły już daleko poza bibliotekę Carlin. Armia Mort nadejdzie, a wojska Tearlingu nie będą w stanie jej powstrzymać. Mogą jedynie liczyć na to, że uda im się ją spowolnić.

Arliss odezwał się ponownie.

– Wasza Wysokość, tearlińska piechota jest niewycwiczona. Już zaczęły docierać do nas raporty o blaszanej broni łamiącej się pod naciskiem z powodu nieprawidłowego przechowywania. Poza tym mamy poważny problem z morale.

Bermond zwrócił się do niego z wściekłością.

– Masz szpiegów w mojej armii?

– Nie potrzebuję szpiegów – odparł Arliss oschle. – Wszyscy wiedzą o tych problemach.

Bermond z trudem opanował gniew.

– Tym bardziej, Wasza Wysokość, powinniśmy przeznaczyć tę odrobinę czasu, która nam została, na szkolenie i gromadzenie zasobów.

– Nie, generale. – Jak to często bywało, Kelsea podjęła nagłą decyzję, bo tylko taka pozwoli jej zasnąć w nocy. – Zasoby wykorzystamy tam, gdzie najbardziej się przydadzą: w trakcie ewakuacji.

– Odmawiam, Wasza Wysokość.

– Czyżby? – Gniew Kelsea osiągnął szczyt i runął niczym fala. Poczula się wspaniale, ale jak zawsze wtrącił się ten przekłety rozsądek. Nie mogła stracić Bermonda, gdyż zbyt wielu członków starej gwardii w jej armii niestety wierzyło w jego zdolności przywódcze. Zmusiła się, by miło się uśmiechnąć. – W takim razie odbiorę panu dowodzenie.

– Nie możesz tego zrobić, pani!

– Oczywiście, że mogę. Mamy pułkownika, który poradzi sobie z dowodzeniem. Świetnie się do tego nadaje i z pewnością jest większym realistą od pana.

– Moje wojsko nie pójdzie za Hallem. Jeszcze nie teraz.

– Ale pójdzie za mną.

– Bzdura. – Ale Bermond umknął gdzieś spojrzeniem. W takim razie i do niego dotarły plotki. Minął niespełna miesiąc, od kiedy Kelsea i jej straż wrócili z przełęczą Argive, ale wszędzie

rozpowiadano, że rozpętała wielką powódź, która zmiotła zdrajców Arlena Thorne'a. Wszyscy uwielbiali tę opowieść i nieustannie chcieli słuchać jej od gawędziarzy w pubach i na targowiskach Nowego Londynu. W dodatku zdziałała cuda w kwestii bezpieczeństwa. Buława niemal z zalem poinformował Kelsea, że nikt już nie próbował zakradać się do twierdzy. Wydarzenia, które rozegrały się na przełęczu, radykalnie zmieniły sytuację polityczną i Bermond miał tego świadomość. Kelsea pochyliła się naprzód, czując zapach krwi.

– Naprawdę uważa pan, że pańska armia sprzeciwi się *mnie*, Bermond? I wybierze pana?

– Oczywiście. Moi ludzie są lojalni.

– Byłoby przykro, gdyby w godzinie próby ta lojalność okazała się niewystarczająca. A może łatwiej byłoby mi pomóc w ewakuacji?

W oczach Bermonda malowała się furia, lecz Kelsea z zadowoleniem dostrzegła, że zaczęła ona ustępować, i pierwszy raz od początku tego spotkania dziewczyna miała wrażenie, że jej gniew także nieco słabnie.

– Obóz to jedno, Wasza Wysokość, ale co zrobisz, pani, gdy nadejdą wojska Mort? Miasto i tak jest już zatłoczone. Zdecydowanie nie ma w nim miejsca na kolejne pół miliona ludzi.

Kelsea niestety nie potrafiła nic na to odpowiedzieć. Tego problemu nie dało się rozwiązać w prosty sposób. Nowy Londyn i tak był już przeludniony, a to prowadziło do kłopotów z kanalizacją i higieną. Kiedy w przeszłości w bardziej zatłoczonych częściach miasta wybuchały epidemie, kontrolowanie ich było niemal niemożliwe. Jeśli liczba ludności się podwoi, te problemy rozrosną się w zastraszającym tempie. Kelsea zamierzała otworzyć wrota twierdzy dla rodzin, ale nawet budowla tak ogromnych rozmiarów pomieściłaby może jedną czwartą przesiedlonych. Dokąd skierować pozostałych?

– Nowy Londyn to nie pańskie zmartwienie, generale. Lazarus i Arliss zajmują się przygotowaniami do oblężenia. Pan niech martwi się o pozostałe tereny królestwa.

– Martwię się, Wasza Wysokość. Otworzyłaś puszkę Pandory.

Kelsea zapanowała nad wyrazem twarzy, lecz satysfakcja, która rozświetliła oblicze Bermonda, powiedziała jej, że wiedział, iż trafił w sedno. Kelsea otworzyła wrota dla chaosu i choć powtarzała sobie, że nie ma innego wyjścia, nocami dręczyło ją przekonanie, że jednak wcześniej miała jakiś wybór, że mogła pójść ścieżką, która pozwoliłaby powstrzymać zsyłki, a jednocześnie uniknąć rozlewu krwi, i gdyby tylko była mądrzejsza, wpadłaby na to rozwiązanie. Powoli wciągnęła powietrze do płuc.

– Bez względu na to, kto jest czemu winien, generale, co się stało, to się nie odstanie. Pańskim zadaniem jest pomóc mi zminimalizować straty.

– To mniej więcej tak, jakbym miał spiętrzyć Ocean Boga.

– Zgadza się, generale. – Uśmiechnęła się do niego szeroko i tak okrutnie, że Bermond wzdrygnął się na krześle. – Pierwsza fala uciekinierów jutro dotrze na środkową część Równiny Almontu. Proszę przydzielić im eskortę, a potem ewakuować pozostałych. Te wioski mają zostać opróżnione.

– A jeśli moja armia rzeczywiście jest taka słaba, jak Wasza Wysokość sądzi? Mort ruszy prosto na Nowy Londyn, zupełnie jak za czasów twojej matki, pani. Wojsko mortmesneńskie dostaje żołąd, ale to kiepskie pieniądze. Żołnierze bogacą się na grabieży, a do tego dobre warunki mają tutaj. Skoro ja nie mogę ich powstrzymać przed przekroczeniem granicy, to czy ty, Wasza Wysokość, powstrzymasz ich przed złupieniem miasta?

Coś stało się ze wzrokiem Kelsea. Jakby jej oczy przesłoniła gęsta chmura, lekka na obrzeżach i ciężka w środkowej części. Czy to przez szafiry? Raczej nie, bo milczały od kilku tygodni, a teraz

pociemniałe wisiały nieruchomo na jej piersi. Kelsea zamrugwała pośpiesznie, starając się oczyścić umysł. Nie mogła przecież okazać słabości na oczach Bermonda.

– Liczę na pomoc – zwróciła się do niego. – Zaczęłam negocjować z Cadare.

– A co nam z tego przyjdzie?

– Może król użyczy nam części swoich wojsk.

– Obiecanki cacanki, pani. Mieszkańcy Cadare od zawsze woleli odosobnienie.

– To prawda, ale sprawdzam wszystkie możliwości.

– Pani? – nieśmiało odezwał się Pen. – Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest – mruknęła Kelsea, ale przed oczami miała mroczki. Uświadomiła sobie, że ogarniają ją mdłości, a nie mogła do tego dopuścić w obecności Bermonda. Wstała, chwytając się stołu, by utrzymać równowagę.

– Pani?

– Nic mi nie jest – powtórzyła, kręcąc głową i starając się otrząsnąć.

– Co się z nią dzieje? – zapytał Bermond, ale jego głos brzmiał coraz ciszej. Nagle zaczęło pachnieć deszczem. Kelsea zacieśniła uścisk i poczuła, jak gładkie polerowane drewno wyślizguje się z jej palców.

– Łap ją, człowieku! – warknął Buława. – Zaraz upadnie!

Poczuła rękę Pena w pasie, ale nie był to przyjemny dotyk, więc odepchnęła ją. Wzrok miała już całkowicie zamglony, a przed jej oczami pojawiło się nieznane miejsce: niewielkie pomieszczenie i szare, groźnie wyglądające niebo. W panice mocno zacisnęła powieki, a potem znów je otworzyła, rozglądając się za swoją salą audiencyjną, strażnikami i czymkolwiek, co wyglądałoby znajomo. Ale nikogo ani niczego nie dostrzegła.

Buława, Pen, Bermond... wszyscy zniknęli.